

DALAJLAMA

Wolność na wygnaniu  
**Autobiografia**

Przełożył Adam Kozieł



Państwowy Instytut  
Wydawniczy

## ROZDZIAŁ TRZECI

# Nadejście burzy

Wychodziłem właśnie z łazienki w Norbulingce, kiedy poczułem, że porusza się ziemia pod moimi stopami. Był późny letni wieczór w 1950 roku, następnego dnia miał się rozpocząć festiwal operowy. Pamiętam, że myjąc się, rozmawiałem z jednym ze służących. Łazienki i toalety znajdowały się wówczas w niewielkim budynku, oddalonym o kilka metrów od mojej siedziby, byłem więc wtedy na zewnątrz. W pierwszej chwili pomyślałem, że to po prostu trzęsienie ziemi. Kiedy wróciłem do swojego pokoju, zauważyłem, że poruszyły się nawet wiszące na ścianie obrazki. W następnej chwili usłyszałem przerażający huk. Wybiegłem. Na dziedzińcu stało już kilkunastu służących. Patrzyliśmy w niebo i słuchaliśmy kolejnych wybuchów. Brzmiały jak salwy armatnie. Doszliśmy do wniosku, że przyczyną tego łoskotu i wstrząsów muszą być jakieś ćwiczenia armii tybetańskiej. Doliczyliśmy się trzydziestu, może czterdziestu eksplozji.

Następnego dnia wyszło na jaw, że nie były to żadne manewry, lecz jakieś zjawisko naturalne. Niektórzy twierdzili nawet, że widzieli na niebie osobliwą, czerwoną łunę. Po pewnym czasie okazało się, że ów fenomen obserwowano w całym Tybecie: w każdym razie na pewno w Czamdo, ponad sześćset kilometrów na wschód od Lhasy, i w Sakji, prawie pięćset kilometrów

na południowy zachód – a słyszałem, że nawet w Kalkucie. Kiedy zaczęto uświadamiać sobie skalę tego dziwnego wydarzenia, ludzie orzekli, że nie było to zwyczajne trzęsienie ziemi, lecz omen.

Odkąd pamiętam, zawsze interesowałem się nauką, chciałem więc znaleźć jakieś naukowe wyjaśnienie. Po kilku dniach, widząc się z Heinrichem Harrerem, zapytałem go, co jego zdaniem mogło spowodować nie tylko owe wstrząsy, ale przede wszystkim dziwną poświatę na niebie. Powiedział mi, że jest przekonany, iż oba zjawiska jakoś się ze sobą wiążą. Uważał, że to ruchy górotwórcze spowodowały pęknięcie skorupy ziemskiej.

Brzmiało to niezłe, ale wydawało mi się mało prawdopodobne. Dlaczego pęknięcie skorupy ziemskiej miało wywołać lunę na nocnym niebie i gromy? I dlaczego obserwowano je na tak rozległym obszarze? W moim odczuciu teoria Harrera nie tłumaczyła wszystkiego. Nie zmieniłem zdania do dzisiaj. Może istnieje jakieś naukowe wyjaśnienie tego dziwnego, tajemniczego zjawiska, sam uważam jednak, że współczesna nauka wciąż jeszcze nie potrafi go podać. I znacznie łatwiej mi przyjąć, że to, co widziałem, stanowiło fenomen metafizyczny. Czymkolwiek by było: przestrożą z góry, czy też tylko dudnieniem z dołu, od tej chwili sytuacja w Tybecie zaczęła się raptownie pogarszać.

Jak już wspomniałem, działo się to tuż przed festywnym operowym. Dwa dni później omen (jeśli był to znak) zaczął się sprawdzać. Wieczorem, podczas jednego z przedstawień, zauważyłem biegnącego ku nam posłańca. Natychmiast przyprowadzono go do Taktry Rinpoczego, regenta, który siedział tuż obok. Wtedy zrozumiałem, że stało się coś złego. W normalnych okolicznościach sprawy rządowe musiałyby zaczekać do przyszłego tygodnia. Co to mogło znaczyć? Naturalnie, paliła mnie ciekawość. Musiało wydarzyć się coś strasznego. Nadal jednak byłem bardzo młody i nie miałem żadnej politycznej władzy, nie pozostawało mi zatem nic

innego, jak czekać, aż Taktra Rinpocze uzna, że należy mi powiedzieć, co się dzieje. Dawno jednak odkryłem, że można zajrzeć do jego pokoju przez okienko w wysokiej ścianie dzielącej nasze kwatery. Gdy tylko uchylił kroki na korytarzu, podciągnąłem się i – wstrzymując oddech – zacząłem szpiegować regenta. Wyraźnie widziałem jego twarz, kiedy czytał wiadomość. Miał bardzo zatroskaną minę. Po paru minutach wyszedł i usłyszałem, że polecił zwołać *kaszag*.

Jak dowiedziałem się później, był to telegram z Czamdo od gubernatora Khamu. Informował o ataku chińskich żołnierzy na tybetański posterunek i o śmierci jego dowódcy. Była to rzeczywiście niepokojąca wiadomość. Już poprzedniej jesieni chińscy komuniści oświadczyli, że zamierzają wyzwolić Tybet z rąk imperialistycznych najeźdźców (cokolwiek miałyby to znaczyć) i kilkakrotnie naruszyli granicę. W 1949 roku wydano z Lhasy wszystkich chińskich urzędników.

Wyglądało na to, że Chińczycy zaczynają realizować swoje groźby. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli rzeczywiście tak było, oznaczało to dla Tybetu śmiertelne niebezpieczeństwo. Nasze wojsko liczyło osiem i pół tysiąca oficerów oraz żołnierzy i nie mogło się równać ze zwycięską Armią Ludowo-Wyzwoleńczą.

Z tego festynu nie pamiętam właściwie nic poza uczuciem przejmującego smutku. Nie wywierały na mnie zwykłego wrażenia nawet magiczne tańce, uroczysty, powolny rytm bębnow, majestatyczna, tradycyjna choreografia i aktorzy odziani w fantastyczne kostiumy (niektórzy, przebrani za szkielety, wyobrażali Śmierć).

Dwa miesiące później, w październiku, sprawdziły się nasze najgorsze obawy. Do Lhasy dotarła wiadomość, że osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy Armii Ludowo-Wyzwoleńczej przekroczyło rzekę Driczu na wschód od Czamdo. Chińskie radio ogłosiło, że w rocznicę zdobycia władzy przez komunistów rozpoczęło się „pokojowe wyzwalenie” Tybetu.

A więc topór opadł. I wkrótce musiała upaść Lhasa. W obliczu takiego ataku nie mieliśmy żadnych szans. Armia tybetańska, nie dość, że mała i niewyszkolona, nie dysponowała właściwie nowoczesnym sprzętem. Lekceważono to przez cały okres regencji. Tybetańczycy, jakby na przekór własnej historii, kochają pokój – służbę w armii uważano niemal za hańbę, a żołnierzy traktowano jak rzeźników. Choć pospiesznie ściągnięto z całego Tybetu dodatkowe pułki i utworzono nowe, poziom oddziałów, które miały stawić czoło Chińczykom, nie był wysoki.

Nie ma najmniejszego sensu zastanawianie się, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby stało się inaczej. Trzeba jednak powiedzieć, że Chińczycy stracili wielu ludzi, podbijając Tybet. W pewnych regionach spotkali się z zaciekłym oporem, mieli też ogromne trudności z zaopatrzeniem i z przystosowaniem się do surowego klimatu. Wielu umarło z głodu, wielu zapadło na chorobę wysokościową, która zawsze dręczyła, a często nawet zabijała cudzoziemców w Tybecie. Ale niezależnie od tego, jak duża i jak dobrze wyszkolona byłaby armia tybetańska, nasze wysiłki musiały okazać się daremne. Choćby dlatego, że Chińczyków było ponad sto razy więcej niż nas.

Świat zauważył zamach na wolność Tybetu. Rząd Indii, popierany przez władze brytyjskie, wystosował protest do Chińskiej Republiki Ludowej i oświadczył, iż ta inwazja zagraża pokojowi. 7 listopada 1950 roku *kaszag* i Zgromadzenie Narodowe zwróciły się do Organizacji Narodów Zjednoczonych z prośbą o interwencję. Niestety, Tybet, który prowadził politykę pokojowej izolacji, nigdy nie starał się o przyjęcie do tej wspólnoty, niczego więc nie udało się uzyskać. Do końca roku wysłano jeszcze dwa telegramy – bez skutku.

Zbliżała się zima, wiadomości były coraz gorsze. Zaczęto mówić o uznaniu dalajlamy za pełnoletniego. Ludzie chcieli przyznania mi pełnej władzy świeckiej

na dwa lata przed właściwym terminem. Służący opowiadali, że na ulicach Lhasy pojawiły się plakaty wyśmiewające i oczerniające rząd; domagano się mojej natychmiastowej intronizacji. Śpiewano nawet ballady o takiej treści.

Ujawniły się dwie szkoły myślenia: jedni sądzili, że w tej kryzysowej sytuacji powinienem przejąć władzę, inni uważali, że jestem jeszcze za młody, by wziąć na siebie taką odpowiedzialność. W pełni zgadzałem się z tymi drugimi, ale, niestety, nikt nie zapytał mnie o zdanie. Rząd zdecydował o przedstawieniu sprawy wyroczni. Pamiętam, że atmosfera była bardzo napięta. W końcu *kuten*, stąpając chwiejnie pod ciężarem swego olbrzymiego, rytualnego nakrycia głowy, podszedł do mnie i kładąc mi na kolanach *khatak*, białą, jedwabną szarfę – tradycyjną ofiarę, powiedział: *Thu la bap* („Jego czas nadszedł”).

Przemówił Dordze Drakden. Takra Rinpocze niezwłocznie przygotował się do złożenia regencji, choć nadal miał pozostać moim Starszym Nauczycielem. Teraz należało tylko ustalić datę intronizacji. Państwowi astrologowie uznali, że najpomyślniejszym dniem przed końcem roku będzie 17 listopada 1950 roku. Wszystkie te wydarzenia bardzo mnie zasmuciły. Jeszcze przed miesiącem byłem beztroskim młodym człowiekiem, z utęsknieniem wyczekującym dorocznego festynu, a oto nagle miałem objąć władzę nad krajem, który szykował się do wojny. Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że nie powinno było mnie to zaskoczyć. Od wielu lat wyrocznia okazywała rządowi nieskrywaną pogardę, mnie traktując wyjątkowo uprzejmie.

Na początku listopada, mniej więcej dwa tygodnie przed intronizacją, przybył do Lhasy mój najstarszy brat. Ledwie go znałem. Jako Takcer Rinpocze był teraz opatem klasztoru Kumbum, w którym spędziłem pierwszych osiemnaście samotnych miesięcy po rozpoznaniu. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, jak

wiele przeszedł. Był w strasznym stanie, niezwykle napięty i zdenerwowany. Jąkał się, opowiadając mi swoją historię. Amdo – dzielnica, w której się urodziliśmy i w której leży Kumbum – graniczy z Chinami, szybko więc znalazła się w rękach komunistów. Mego brata natychmiast pozbawiono wolności. Ograniczono swobodę mnichów, a on sam został właściwie uwięziony we własnym klasztorze. Jednocześnie Chińczycy usiłowali wpoić mu nowe zasady komunistycznego myślenia. Powiedzieli, że puszcza go wolno, jeżeli pojedzie do Lhasy, aby skłonić mnie do zaakceptowania chińskiej władzy. Jeślibym się opierał, miał mnie zabić. Obiecali, że go za to nagrodzą.

Dziwna to była propozycja. Przede wszystkim, zabicie jakiegokolwiek żywej istoty jest dla buddysty po prostu nie do pomyślenia. A oferta zamordowania dalajlamy dla zysku pokazuje, do jakiego stopnia Chińczycy nie rozumieli Tybetańczyków. Po roku przyglądania się, jak komuniści wywracają wszystko do góry nogami, mój brat doszedł do wniosku, że musi jakoś uciec do Lhasy, aby ostrzec mnie i rząd, co nas czeka, jeżeli Chiny podbiją Tybet. Był tylko jeden sposób – udać przyjęcie ich oferty. Zaparło mi dech. Do tej pory nie wiedziałem o Chinach właściwie nic, a o komunistach jeszcze mniej. Jedynie to, że zgotowali straszliwe cierpienia mieszkańcom Mongolii, oraz to, co wyczytałem o nich w magazynie „Life”. Mój brat zdecydowanie twierdził, że nie tylko sami nie są religijni, ale sprzeciwiają się praktykowaniu religii. Zacząłem się naprawdę bać, kiedy Takcer Rinpoche powiedział mi, że jest przekonany, iż nasza jedyna nadzieja to pomoc z zewnątrz i zbrojny opór.

Budda zabrania zabijać, ale mówi, że w pewnych okolicznościach można to usprawiedliwić. Mój brat uważał, że ówczesne warunki były właśnie tego rodzaju. Powiedział, że zrzeknie się klasztornych ślubowań, zrzuci szaty mnicha i wyjedzie za granicę jako emisariusz Tybetu. Spróbuje skontaktować się

z Amerykanami. Z pewnością – przekonywał – wspomogą walkę o wolny Tybet.

Byłem zaszokowany jego słowami, lecz zanim zdołałem zaprotestować, począł nalegać, żebym opuścił Lhasę. Słyszałem to już, ale niewielu ludzi podzielało ten pogląd. Mój brat błagał jednak, bym posłuchał jego rady, niezależnie od tego, co mówi większość. Niebezpieczeństwo jest wielkie – powiedział i dodał, że nie wolno mi wpaść w ręce Chińczyków.

Przed wyjazdem z Lhasy brat rozmawiał z wieloma członkami rządu. Widziałem się z nim jeszcze raz czy dwa razy, ale nie mogłem nakłonić do zmiany decyzji. Straszne doświadczenia minionego roku przekonały go, że nie ma innego rozwiązania. Nie rozmyślałem o tym zbyt wiele, bo po prostu nie miałem na to czasu. Za kilka dni czekała mnie ceremonia intronizacji.

Postanowiłem ogłosić z tej okazji amnestię. W dniu, w którym obejmowałem tron, wszyscy skazani mieli odzyskać wolność i opuścić więzienie Szol. Cieszyłem się, że mogę to zrobić, choć później zdarzało mi się żałować tej decyzji. Pozbawiłem się radości, jaką dawała mi moja szczególna przyjaźń z więźniami. Kiedy kierowałem teleskop na znajomy dziedziniec, widziałem tylko psy szukające odpadków. Czułem się tak, jakby odebrano mi część życia.

Rankiem siedemnastego listopada wstałem o dwie godziny wcześniej niż zwykle. Było jeszcze ciemno. Kiedy się ubierałem, Mistrz Szat podał mi skrawek zielonego sukna, którym miałem się przepasać. Astrologowie orzekli, że zieleń będzie pomyślnym kolorem. Postanowiłem nie jeść śniadania. Wiedziałem, że ceremonia potrwa długo i nie chciałem, żeby ciało rozpraszało mnie przypomnianiem o sobie. Ale astrologowie nalegali, żebym przed rozpoczęciem ceremonii zjadł jabłko. Pamiętam, że nie mogłem go przełknąć. Kiedy jakoś się z tym uporałem, wyruszyłem do kaplicy, gdzie o świcie miała się odbyć intronizacja.